Tom I. Nr. 9.

21. Września 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półr ocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Straż niewidzialna.

Razu jednego szedł sobie św. Antoni ulicą pysznego miasta Florencyi we Włoszech, gdzie właśnie był Arcybiskupem, i kiedy przypadkiem podniósł oczy do góry, zajrzy na dachu ubożuchnego domku bawiących się aniołów.

Zdziwiło go to niepomału i zarazem rozciekawiło: kto-by tam mógł mieszkać?

Tedy rozwiera drzwi i wchodzi. I zastał na izbie ubogą wdowę z trzema córkami, pannami, jako wszystkie obdarte i bose były, a krzątające się pilnie około kądzieli i przędziwa na chleb i wyżywienie swoje. Czuły na taką nędzę mąż święty, hojnie wsparł ich jałmużną, a gdy się jeszcze dowiedział od sąsiadów o ich życiu przykładnem, przyrzekł i na dal o nich nie zapominać.

I było tak jakiś czas. Aż tu razu pewnego idzie sobie znowu św. Antoni ulicą miasta i koło onego domku. I podniósł znowu przypadkiem oczy na dach, i zajrzy tam już nie aniołów bawiących się, ale złych duchów.

— O Boże! cóż to się stało? zapyta sam siebie w duchu, zgrozą przejęty. — Miałyżby się moje ubogie pogorszyć i Boga

odstąpić, że już nie pod strażą aniołów ale złych duchów mieszkają?...

W tej wątpliwości będąc, idzie już nie do wdowy, ale wprost do jej sąsiadów. Dopieroż tam dowiaduje się z bolem serca: jako ona uboga wdowa i jej trzy córki, popsute jego hojną jałmużną, na śmierć zapomniały o pięknej pracy i uczciwości, i teraz już jeno strojami mają głowy nabite i bardziej się światu przypodobać, aniżeli Bogu starają.

Co słysząc św. Antoni poszedł natychmiast zgromić słowami wdowę i jej trzy córki, i napomnieć do życia lepszego. A że dobry byt sprawił taką zmianę w ich sercach przedtem tak czystych, uszczuplił dochodu, i odtąd tyle tylko dodawał, ile im przy najpilniejszej pracy z zarobku do życia nie dostawało.

Z tej powieści piękna dla nas nauka: Któremu panu służymy, pod tego strażą jesteśmy. Jeżeli panu Bogu, aniołowie niebiescy czuwają nad nami; — jeżeli zaś piekłu, złe duchy w niepocieszną opiekę nas biorą.

Baczmyż więc pilnie na siebie, iżby anielska straż nigdy nie odstępowała progu naszego domostwa.

Cudze nie grzeje.

Gawęda starego Macieja.

Cudze nie grzeje, prawda jak Bóg w niebie!
Lecz nie chcą wierzyć przysłowiu ludziska;
Ten w cudze dobro, jak za piec się wciska,
Ów niby szubę ciągnie je na siebie;
A prawda prawdą, i śród tego ciepła
Już niejednemu nędzna dusza skrzepła.

Ot macie przykład we smutnej przygodzie,
Co Bartłomieja spotkała przed laty:
Marniał nieborak o chłodzie i głodzie,
A tuż przez drogę żył sąsiad bogaty,
Co w przyodziewku, w sprzęcie i w chudobie
Miał aż do zbytku — i panował sobie.

Raz, na jesieni, w pogodne południe,
Kazał swą odzież wynieść na wiatr suchy,
I jak płot długi, porozwieszał cudnie
Płaszcze, żupany, kurty i kożuchy;
A tyle tego na słońcu się grzało,
Żebyś ustroił choćby wioskę całą.

Patrzy Bartłomiej pożądliwem okiem:
— Boże mój drogi, cóż to za parada!
A ja nieborak świecę gołym bokiem,
Gorzej nędznego pod kościołem dziada!
I na co jemu taki tego zbytek?
Ot, leży tylko dla moli pożytek.

— Ej! byłbym głupi jak prawdziwe cielę,
Gdybym z dogodnej nie korzystał chwili..
Rzekł w grzesznej duszy, i nie myśląc wiele,
Czai się w chwastach, po pod płot się chyli,
Skrada się, kędy wiszą piękne szaty,
Porywa kożuch, i zmyka do chaty.

Cudze nie grzeje! szepnie mu sumienie;
Tyś złodziej bratku! — Ej, Pan Bóg przebaczy...
Nie grzech korzystać z niedobrych bogaczy,
Co nie chcą patrzyć na bliźnich cierpienie.
Mniej jeden kożuch niewielka mu szkoda,
A mnie i zdrowia i życia on doda.

Paradny kożuch, przepyszne barany!
Włos czarny, lśniący, kręty i obfity,
I granatową sajetą pokryty,
I jakąś wonią zamorską oblany,
Że pachnie odeń jakby z kadzielnicy —
Nie ma równego w całej okolicy. —

Zawinął w płachtę, skoczył do stodoły,
I w stertę słomy zagrzebał nieznacznie,
I czekał wesół i trwożny napoły,
Rychło-li sąsiad zguby szukać zacznie.
Niedługo czekał, przed wieczorem jeszcze
Hałas posłyszał, i przeszły go dreszcze.

I pot mu zimny wystąpił na czoło,
Gdy rwetes wszczął się po całym zaścianku,
Gdy trząść zaczęli wszystko naokoło,
Klnąc i wołając pomsty bez ustanku.
Darmo szukali — lecz nie było ducha,
Coby już nie znał ze słychu kożucha.

I wszyscy we wsi strzegąc swojej części,
Gorąco wziąwszy do serca tę sprawę,
Rzekli: niech zguba w koło się obwieści,
A złodziej musi wpaść w końcu w obławę!
I rozgadali, i niebawem cała
Już okolica o futrze wiedziała.

I jaka długość, i szerokość jaka,
I jakie runo, jakie sukno na niem,
Jak nawet pachnie — trzeba skrzydeł ptaka
Było, by umknąć z kożuchem baranim;
I nasz Bartłomiej na zimę, choć z szubą,
Jak dawniej dzwonił zębami aż lubo.

Bo wdziać nie sposób, ni dać do kuśnierzy,
Gdyż zdjąwszy sukno, jeszcze zapach wyda;
Kożuch gdzieś w słomie jak leżał tak leży,
A Bartoszowi jak bieda, tak bieda.
Darmo się wpisał pomiędzy złodzieje,
Daremnie zgrzeszył, bo *cudze nie grzeje.*

A zima praży mrozem bez litości,
I nieustannie zawierzuchą miecie —
Trudno wyjść z chaty z kapotą na grzbiecie,
Gdy w szubę wlazłszy jeszcze krzepną kości...
A Bartoszowi, choć zgiń, w las potrzeba
Po drwa, bo marznie bez strawy, bez chleba.

W kradzionej szubie ruszył nocką ciemną,
Pewny, że wróci póki rozednieje;
Ciepło mu było, z radością tajemną
Rzekł sobie w duszy: patrz! *cudze nie grzeje!*
Przecież mi ciepło w kożuchu sąsiada,
A w swej kapocie, człek nędzny przepada.

Żwawo się zwinął, nabrał w sanki drzewa,
I do dom spieszył; lecz w polu wiatr srogi
Śnieżną zamiecią szumi i zawiewa
Wszystkie dokoła i ścieżki i drogi.
Darmo się Bartosz kręcąc, tropi ślady,
Wszystkie zawiane.... zgoła ani rady.

A tu już dnieje, i niedługo pono
Czekać, jak licho kogoś przyprowadzi.
Co na nim szubę zobaczy kradzioną,
I jak złodzieja do kozy go wsadzi;
Zrzuci więc kożuch, drwami go przywali,
I drżąc, w kapocie starej rusza dalej.

Dzień cały błądził, kostniejąc na chłodzie,
Skulony na drwach, siedząc na kożuchu
Pod niemi skrytym: a gdy przy zagrodzie
Stanęła szkapa, to już był bez ducha.
Zgubił i duszę i grzeszne z nią ciało,
Bo koniec końcem: *cudze nie ogrzało.*

A. Pług.

Historja o kowalu Matjasku

i jako ten za dopuszczeniem Pana Boga ukarany został za bardzo wielką pychę.

Onego czasu, kiedy Czersk był jeszcze potężnem miastem, a Warszawa małą mieściną, na drodze z Czerska do Warszawy stała wielka kuźnia, a w niej mieszkał kowal, któremu miano było Matjasek. — Matjasek był to sobie majster całą gębą, taki jakich teraz ani poświeć. — Szeroki w plecach, krzepki w barkach, obrośnięty jak niedźwiedź, czarny jak cygan, a taki zuch do młota, że jak na kowadle palnął po sztabie żelaznej, to się bez ognia spłaszczyła niby blacha, a taki silny w ręku, że bez obcęgów najtęższe gwoździe i haki wyrywał z drzewa i muru, a taki osadny w piersiach, że jak dmuchnął na węgle, to się obyło bez miecha, i żelazo rozpalało się do czerwności.

Nikt nie wiedział, zkąd Matjasek przybył na Mazury, bo to był sobie człek wędrowny; a że przyniósł z sobą grosza, to obrał plac przy drodze, i wybudował tam ową kuźnię, która była dziwowiskiem dla ludzi, tak wszystko pięknie i dogodnie tam było urządzone. — A nie było co mówić, Matjasek dobre sobie obrał miejsce, i widno że nie tylko miał ręce zdrowe do pracy, ale i sens wielki w głowie, bo na tej drodze mnóstwo ludu zbrojnego uwijało się co chwila, przejazd był ciągły, gdyż w Czersku mieszkał potężny książę, który utrzymywał dużo rycerstwa, i dużo przyjmował w gościnę.

A jak któremu po drodze szkoda się jaka zrobiła, to podkowa spadła koniowi, to kółko, albo gwóźdź jaki w zbroi się obluzował, albo żelazko wyszczerbiło się w włóczni, to zajeżdżał zaraz do Matjaska, bo on był znany i sławny na całą okolicę, a nietylko w kowalskiej, ale i w płatnerskiej robocie, to jest w robieniu broni, doskonały.

Więc Matjasek miał zawsze wiele gości i roboty po uszy, bo jedni go drugim zalecali. — A czeladź z dalekich strón schodziła się do niego na naukę, bo słynął na całuteńką okolicę, ba, nawet na kraj cały. I chociaż tylu miał pomocników i czeladzi, to jednak nie mógł nadążyć z robotą, bo kiedy bywało czasem wojsko książęce szło na wyprawę, albo wracało z wojny, albo fest jaki w zamku się odbywał, to przed kuźnią Matjaska widziałeś czysty jarmark, tak się to tam wszystko do niego cisnęło z robotą, i płacili mu słono, bo było za co.

Więc Matjasek, jako był człek zarozumiały, i wiele o swej mądrości kowalskiej trzymający, wzrósł wielce w pychę, i zaufał sobie. I żeby każdy wiedział, jaki to on mądry w swojej sztuce, kazał przed kuźnią na tyce wystawić wielką tablicę, a na tablicy podróżny malarz wymalował mu ogromny szyld, na którym wyobrażoną była kuźnia: sam majster stał w pośrodku, a w około niego wszystko mu się kłaniało, i gwoździe, i podkowy, i młoty, i kowadło, i miechy, i czeladź cała, Polacy, różni Niemcy, a pod spodem napisano złocistemi literami: „Matjasek, wielki majster nad majstrami, przychodźcie wszyscy i uczcie się od niego mądrości kowalskiej.“

Owóż zdarzyło się, że pewnego czasu zajechał przed ku-

żnię pewien rycerz. — Zbroję miał na sobie całą od złota i śrebra, przyłbicę spuszczoną, a koń pod nim biały bez żadnej odmiany — ale teżto cudo nie koń! Nóżki, karczek, łeb, wszystko jak utoczone. — A taka fantazja była w tem zwierzęciu, iż zdawałoby się, że jeno mu tylko wyskoczyć ze skóry, chociaż widno, znał rękę rycerza, i dał mu się we wszystkiem jak należy powodować.

Więc rycerz ów zsiadł z konia, i zastukał żelazem od włóczni w krążek mosiężny, zawieszony tuż pod szyldem. Był to znak, żeby zaraz kto wyszedł, bo jest potrzeba jakaś.

I wyszedł sam Matjasek, bo wyjrzawszy z przed sklepu, i zobaczywszy złocistą zbroję rycerza, i czerwoną kitę na hełmie, i konia z taką ognistą fantazją, poznał on odrazu, że to nie lada gość, i że trzeba mu będzie najlepszym usłużyć towarem.

A jak skoro wyszedł Matjasek, rycerz ukazał mu konia, któremu u tylnego kopyta brakło podkowy, co mu była w drodze odpadła. — Więc Matjasek zbliżył się do konia, żeby go obejrzeć i wziąć mu miarę na podkowę. Ale lichać tam przystąpić do niego, kiedy za każdym razem koń, niby jaka dzika bestja, zżymał się i parskał i wierzgał nogami, tak, że niepodobieństwo było Matjaskowi nic z nim poradzić.

Majster popróbował jeszcze parę razy, aż nareszcie mruknął pod nosem, machnął ręką, i zawołał do kuźni:

— A chodźta no Jurku i Kuba! a weźcie z sobą powrozy, trzeba przywiązać to licho do pieńków przede drzwiami, bo tu widzę inaczej z nim nie uradzi.

I dwóch czeladzi z powrozami ukazali się na progu kuźni.

A rycerz ów, który jakoś z uśmiechem patrzył na to wszystko, widząc, że już nie na żarty myślą się koło konia zabierać, zapytał:

— A dlaczego ty chcesz wiązać mojego konia?

— A juści, proszę waszej wielmożności, trzeba obejrzeć kopyto, i wziąć miarę na podkowę — odrzekł Matjasek; a wasza wielmożność sam widzi, że ta uparta bestja nie da ani przystąpić do siebie.

Rycerz pokiwał głową.

— Oj, majster ty majster, rzekł, chwalisz się, że masz sławę i zachowanie w swojem rzemiośle, a nie wiesz, jak koniowi brać miarę na podkowę. — I po co takie różności malować, i sztyftować takie napisy! mówił dalej, pokazując na szyld — kiedy się marnej rzeczy nie potrafi dokonać? — Ot patrz jeno jak się to robi.

I to mówiąc zbliżył się do konia, wziął go za nogę, a koń stał jak trusia i ani drgnął z miejsca.

— Łatwo to waszej wielmożności mówić — mruczał Matjasek pod nosem, obcierając kopyto — ale przecież i ja człek nie dzisiejszy, i nie pierwszyna mnie taka robota, a jeszcze tak narowistnego bydlęcia jako żywo na oczy nie widziałem. — Z waszą wielmożnością on obyły jakoś, ale ja cudzy człowiek, a on widno cudzych ludzi nie lubi.

— Poprawdzie tak jest — odrzekł rycerz — ale kto się tak chwali ze swojego majsterstwa, powinien umieć trafić w setno każdemu koniowi. — No, ale kiedyś już obejrzał kopyto, jak sam chciałeś, to spieszże się z robotą, bo mi pilno.

Matjasek wrócił do kuźni, wybrał najlepszą sztabę, włożył do ognia, zadął miechem, że aż żelazo do białości się rozpaliło, wziął ostrożnie w obcęgi, wyjął z żaru, położył na kowadle, przyciął, jak przynależy i zaczął klepać z wielką pilnością.

Nie wyszło pół godziny, a już podkowa leżała gotowa i ochłodzona. Matjasek podjął ją z ziemi, wziął ostrożnie w palce, zważył na ręku, obejrzał jeszcze, czy gładko obrobiona, i czy nie ma żadnego feleru, popróbował na tę i ową stronę, aż zadowolony z roboty wyszedł z nią na dwór.

A rycerz tymczasem przechadzał się przede drzwiami kuźni, brząkając koncerzem i gwizdając niecierpliwie przez zęby.

— A co, czy już skończone? zapytał.

— Już, odrzekł Matjasek, pokazując mu podkowę — ale jak to będzie z przybiciem, bo ja z przeproszenie waszej wielmożności, nie mam ochoty kopytem w łeb dostać!

— No, już ja go potrzymam, rzekł rycerz, biorąc konia za nogę — ale co to? widzę twoja robota panie majstrze na licho się przydała, bo podkowa nie pasuje wcale, gdzież jej brzegi,

a gdzie kopyto? trzeba drugą zrobić; widzę, żem się dobrze udał, no, ale cóż czynić, tylko pospieszcie z robotą.

— Tfu! czy wciurności nadali — mruczał Matjasek, powracając do kuźni z odrzuconą podkową — czy mnie bies jaki oślepił? A dyć to on ma prawdę, i cała robota niepotem.

— Ale przecież teraz powinienem utrafić, bom doskonale wymierzył.

I jeszcze usilniej niż przedtem zabrał się do roboty.

Ale mu jakoś nie szło, i widno napisano było, że się Matjaskowi żadna podkowa dla białego konia nie uda. — Zrobił ze dwie albo trzy, ale każdej coś brakło: jedna była za wielka, druga za mała, inna nareszcie taka słaba, że jak się zabierał do przybijania jej, pękła mu w palcach, i kawałki ze złości odrzucił na ziemię.

— A to utrapienie Boże! rzekł opuszczając ręce — już sam nie wiem, jak sobie począć, chyba ktoś na mnie urok rzucił.

— Oj! nie urok to — powiedział rycerz — ale nieumiejętność twoja, żeś człek ciemny w swojem rzemiośle, i nie wiesz nawet jaki jest najlepszy sposób dopasowania koniowi podkowy.

— A ciekawym, jak mnie wasza wielmożność nauczysz tego sposobu — zapytał hardo Matjasek — bo ja z nie jednego pieca chleb jadłem, i w niejednej kuźni klepałem na kowadle, a przecież robię tak, jak pan Bóg przykazał, i jak nasza reguła kowalska uczy.

— Ja nie wiem, jak tam uczy wasza reguła — rzekł rycerz; ale u porządnych majstrów to się tak robi.

To mówiąc, zbliżył się do kulbaki, wyjął ze skórzanej pochwy toporek stalowy u kuli zawieszony, zamierzył się, ciął, i noga odjęta koniowi u kolana jak raz upadła na ziemię, a biały stał prosto na trzech nogach, ani się pochylił, tylko krew z okaleczonej tak srogo nogi, czerwoną strugą tryskała na ziemię.

Matjasek patrzał na to wszystko jak osłupiały.

Rycerz podjął obciętą nogę z kopytem, i wszedł z nią do kuźni.

Matjasek poszedł za nim.

Rycerz sam wybrał sztabę żelazną, włożył ją w węgle,

kazał chłopcu miechem dmuchać, potem rozpaloną sztabę wyjął z węgli, położył na kowadle, i zaczął obrabiać młotem.

Kiedy już żelazo zaczynało nabierać formę podkowy, rycerz położył na kowadle ową końską nogę, przypasował do niej podkowę, przybił, a ona przystawała tak, że nigdzie nie było najmniejszej szczeliny, najmniejszej nierówności.

Matjasek i cała czeladź, która przez ten czas porzuciła swoję robotę, przypatrywali się temu z najwyższym podziwem, prawie jak skamieniali, a kiedy rycerz wyszedł z gotową już podkową, wszyscy ruszyli za nim, żeby zobaczyć, jak on zaradzi z przyprawieniem koniowi uciętej nogi?

A koń przez ten czas stał jak najspokojniej, nie przywiązany nawet, tylko krew ciągle ciekła z rany.

Rycerz zbliżył się do niego, przystawił uciętą nogę do kolana, wnet jedno spoiło się z drugiem, krew przestała płynąć, i koń zarżał radośnie, podrygując na czterech nogach, jak gdyby nigdy nic, a po przecięciu ani śladu nawet nie było.

— Widzisz tedy — rzekł rycerz, obracając się do Matjaska, który patrzył, nie wierząc swoim oczom — jak to trzeba umieć przypasować koniom podkowy; teraz więc pamiętaj, żebyś już nie robił na fuszerkę, tylko jak porządny majster, którym udajesz, że jesteś. — A za to, co ci się zmarnowało, ot masz zapłatę.

I to mówiąc, rzucił Matjaskowi sztukę złota, wsiadł na konia, i ruszył tęgim kłusem.

Matjasek stał na miejscu jak wryty, bo mu się to w głowie jakoś pomieścić nie mogło. — Wróciwszy jednak do kuźni, obiecał sobie, że za pierwszym razem sprobuje tej praktyki rycerza, bo się dokładnie wszystkiemu przypatrzył i zdawało mu się, że już potrafi tym nowym sposobem podkowy koniom przybijać.

Nie minęło dwóch godzin, aż tu nowy rycerz przyjechał przed kuźnię, i zażądał podkowy.

Matjasek nic nie mówiąc, zabrał swój najpotężniejszy topór, i zanim nowy rycerz obejrzał się, a koń mógł się spodziewać co go czeka, machnął nim po swojemu, i noga gładko obcięta

przy kolanie, padła na ziemię. Koń jęknął z boleści, pochylił się i upadł, a krew lunęła strumieniem.

Nie zwracając na to uwagę Matjasek, porwał obciętą nogę, i zabierał się z nią iść do kuźni.

— A ty rozbójniku! co ty robisz! zawołał rycerz porywając go za kołnierz od kapoty — czyś oszalał! zabijasz mi najlepszego konia, ja ciebie zaduszę na miejscu!

— Niech wasza wielmożność będzie spokojnym — odpowiedział Matjasek z najzimniejszą krwią, starając się wydostać z rąk rycerza — to jest nowy sposób kucia koni, mnie samemu wiadomy, to bardzo robotę ułatwia, a podkowa będzie pasowała jak ulana.

— Co ty pleciesz łotrze? przecież widzisz, że koń zdycha, czy ty mu potrafisz nogę zwrócić? — Ja ci łeb o twoje kowadło rozbiję.

— Ale proszę waszej wielmożności, przecież ja kowal z kowalów, i nie robiłbym nic tak na wiatr. — I podkowa będzie przybita i rana się zagoi, i koń będzie zdrów. — Wtem właśnie mój sekret, tylko cierpliwości trochę.

Matjasek prawił to z taką pewnością siebie, i uśmiechającą miną, że rycerz pomyślał w sobie: „A nuż on ma jakiś sekret! przecież zdaje się że nie od rzeczy gada, a ci ludzie prości, to oni zawsze mają jakieś swoje uroki.“

Popatrzył się trochę to na konia tarzającego się we krwi, to na Matjaska spoglądającego nań z uśmiechem, i trzymającego w ręku nogę odciętą, pomyślał chwilę, nareszcie puścił kowala, którego przez cały ten czas trzymał za kapotę i rzekł:

— No, zobaczymy, idź waść do roboty, ale jeżeli mi koń nie będzie zdrów i okuty w prędkim czasie, to się na sucho z rąk moich nie wydostaniesz.

Matjasek nie dał sobie dwa razy powiedzieć. Poszedł do kuźni i począł majstrować tak, jak widział u tamtego rycerza. A wszystko udało mu się wyśmienicie, podkowa przystała dowodnie do kopyta, i nie dziwota, bo można było przymierzać na kowadle. Powbijał więc gwoździe gdzie przynależało, przypatrzył się raz jeszcze czy nic nie brakuje, i wyszedł z kuźni

w zamiarze dokończenia roboty, i przyprawienia napowrót koniowi nogi jak u tamtego widział.

A biedne zwierzę ledwo zipało, krew wprawdzie zaschnęła już prawie u rany, ale koń leżał na boku, i tylko od czasu do czasu drgał konwulsyjnie, a rycerz stał nad nim z osmutniałą twarzą.

Matjasek zbliżył się do konia i przyłożył odeszłą nogę do rany; ale gdzie tam, ani weź, i chwytnąć nawet nie chciało. — Owszem kiedy Matjasek wszelkich sił dokładał, żeby kolano spoić, koń zaprzestał zupełnie ruszać się, widno zdechł na prawdę.

To widząc rycerz, porwał się do Matjaska.

— A ty podły chamie! zawołał — także to mię zdurzyć chciałeś? — Poczekaj, już nie będziesz szkodził drugim, i pastwił się nad niewinnemi zwierzętami.

A to mówiąc, wyjął z pochew zakrzywioną szablę i zamierzył się na Matjaska, który nad trupem konia stał nieruchomy jak drewno.

Wtem zatętniało na drodze, i ukazał się przed nimi ów rycerz na białym koniu, który w sam czas przytrzymał rękę drugiemu rycerzowi, bo byłoby się stało to z głową Matjaska, co on z nogą końską zrobił. Potem zsiadł z białego, przystawił do rany owe pół nogi, i nagle trup koński się poruszył, kopnął się raz i drugi na ziemi, nareszcie porwał się na nogi, i jak gdyby nigdy nic nie było, zarżał radośnie, żując wędzidło niby w gotowości do drogi.

A wonczas pierwszy rycerz ozwał się do Matjaska w te słowa:

— Widzisz człeku! jaki to nizki twój rozum i głupia nauka. — Wiedz, że ja jestem święty Marcin. — Mnie pan Jezus umyślnie tu zesłał, żebym cię ukarał za twoję pychę i przekonał cię że nietylko nie jesteś majstrem nad majstrami, ale że cała twoja mądrość kowalska, w którą tak dmiesz, jest niczem. Pan Bóg jeno jest doskonale mądrym, a wszyscy ludzie winni się przed Nim korzyć i uznawać, że wszystko mają z Jego łaski a bez tej łaski niczego im dostąpić i z niczego puszyć się nie wolno.

I to powiedziawszy, znikł.

A Matjasek pomodliwszy się Panu Bogu, i pożałowawszy grzechów, kazał zdjąć szyld ów z tyki, i od tego czasu skromnie, jak przynależy pełnił swoje rzemiosło, nie nadymając się już ze sprawności w rzeczach ludzkich, która tak małą jest zasługą przed Panem.

(Cz. N.) *W. Szymanowski.*

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Prosty sposób wygubienia szczurów.

— Co ja też to biedny człowiek pocznę z temi przeklętemi szczurami! narzekał Rabura przed Łopatką, swoim kumotrem, wracając z jarmarku; — powiadam wam, tak się u mnie tego robactwa namnożyło, że już stadami, jak owce, biegają; a żrą się, a kwiczą, że aż strach.

— Jeszczęście to na nie nie zakładali? zapytał Łopatka.

— Taże nie; odpowiedział Rabura. Chciałemci ja dzisiaj kupić trucizny w aptece, ale mi nie chcieli przedać, chociażem się zaklinał na Boga, że to na szczury.

— Trucizna, mój kumotrze! rzekł Łopatka — to rzecz niebezpieczna, i dla tego jej też każdemu nie sprzedadzą, bo i słusznie; ale się tu bez niej obejdzie! Ja wam dam na szczury sposób, a ręczę, że wszystkie wyginą.

— No, no gadajcie jeno! kumotrze — odezwał się Rabura, co to za sposób.

— Oto moi mili, mówił dalej Łopatka — pokrajcie kilkanaście korków na drobne krążki, jakby na złotówki, obmaczajcie je dobrze w tłuszczu, w jakimkolwiek bądź, a potem je na pokrywce, albo w tygielku na węgielkach ususzcie. Gdy ostygną cokolwiek, porozkładajcie je tu i owdzie, gdzie najwięcej szczurów się zbiega. Pożrą je za miód, a że ich nie będą mogły strawić, pozdychają od nich.

— Co wy gadacie! zawoła Rabura — toby od takich opiekanych korków miały te gadziny pozdychać?

— Wy się dziwicie, rzekł Łopatka, a ja wam powiadam, że pozdychają, bo ja tego przecie nie mam sam ze siebie, tylkom to słyszał od ludzi, co też byle czemu nie uwierzą.

— Bodajście wy z waszym sposobem! przerwał mu Rabura; ludzie zwyczajnie, jak ludzie, podają sposoby na różne rzeczy, a to wszystko diabła warto.

— O! co wy to pleciecie, mój kumotrze — odezwał się Łopatka — za ten sposób to wam już ręczę, bo ten, co mi o nim powiadał, wyczytał to z książki drukowanej. Przecie nie zubożejecie, że spróbujecie.

— Jużcić to prawda, rzekł Rabura, spróbować nie zawadzi.

Przyszedłszy do domu Rabura, opowiedział to swojej Basi. Ta wyszukała w szafie kilka korków, porznęła na krążki, umaczała w tłustem, ususzyła na patelce i porozkładała tu i ówdzie. W kilka dni kot nawywłóczył z chlewów kilkanaście zdechłych szczurów. Ucieszyła się z tego gosposia, przyprawiła więcej korków i pozbyła się szczurów.

Czem się można pozbyć wołków w zbożu.

Poprawdzie powiedziawszy, rzadkie to u was goście, te wołki — bo gdzie co Maciek zrobił, Maciek zjadł, tam i nie w porę wołkom gospodarzyć. Ale jak to mówią: od przybytku głowa nie zaboli — więc dobrze wiedzieć i o tem, choćby tylko aby drugiemu poradzić, który-by tego nie wiedział. Zresztą i u was może się kiedyś za Boską pomocą zmieni na lepsze i nie będzie zawsze tak pusto w stodołach i spiechrzach, jak po dziśdzień bywa; to wtedy może i tych nieproszonych gości doświadczyć wam się zdarzy. I byłby zaraz kłopot, kto by nie wiedział: czem się takich paniczów wyprasza za drzwi, aby świętego chleba nie marnowali, na który człek tak ciężko pracować musi.

Pierwszy na nich sposób jest: zwyczajna smoła. Sam zapach smoły albo je zabija, albo też przed nim uciekają. Doświadczyć tego można, wsadzając wołki w naczynie, w którem się smoła znajduje; skoro się to naczynie szczelnie przykryje,

wołki w kilkunastu godzinach wyzdychają. Zmiarkujesz tedy, że w sypaniach gdzie zboże jest, znajdują się wołki, nasmaruj kilka tarcic smołą, i tak je w rozmaitych miejscach w sypaniu rozstaw, ażeby ten zapach smolny dał się czuć po całem sypaniu. Nie zcierpią tego zapachu wołki, i zobaczysz jak pilno a swoim własnym kosztem wyniosą ci się one szkodniki ze spiechrza. Jeno aby się ich pozbyć na piękne, musisz od czasu do czasu kilka razy powtórzyć to samo. —

Drugi sposób wygubienia wołków: weź prześcieradeł konopnych, umocz je w wodzie, potem wilgotne jak są, nakryj niemi kupy zboża. Wołki najdalej w dwóch godzinach poprzyczepiają się do mokrych prześcieradeł; wtedy zbierz je lekko, aby onych nie spłoszyć, i zatop w wodzie na jakiś czas, niech sobie pływają jeśli umieją.

Potrzecie: dobre jest na nich ziele Bielun, albo Szalej. Tego ziela trzeba pozatykać w każdę kupę zboża i pilnować, kiedy wołki umykać będą, aby je pognieść.

Poczwarte: kilkanaście zdechłych raków porozrzucaj w tem miejscu, gdzie się wołki znajdują — a wszystkie ci niebawem wyzdychają co do łaby.

Nareszcie jako ostatni sposób bardzo na nich skuteczny, mają być konopie niemłócone. Kiedy się sprząta konopie, weź póki za świeża kilkanaście pręcików tychże, i pomieć je w miejscu, gdzie masz zboże na składzie. Mocny zapach świeżych konopi nieznośnym jest dla wołków, dlatego z tamtąd chąc nie chcąc uciekać muszą. Jeno potrzeba aby te konopie, których chcemy użyć dla wołków na straszaka, wcześniej niż zwykle były siane, więc przy końcu marca, lub z początkiem kwietnia, bo im się wcześniej sprzątają, tem mocniejszy mają zapach, a tem samem skuteczniej działają.

RÓŻNOŚCI.

— *Nietrudno o nieszczęście.* Będzie z trzy tygodnie temu, kiedy u niejakiego mieszczanina Kuby Z... z Kozowej, co leży w obwodzie Brzeżańskim, trzyletnie dziecko, zostawione samo bez żadnego dozoru w izbie, dopadło gdziesik siarników, i zaczęło się niemi bawić. Jak na to nieszczęście nieopodal leżały paździerze konopne — te się duchem zajęły od za-

palonych siarników, i powstał jasny płomień. Nim jeszcze dziecię zalęknione zdołało zemknąć, jużci i jego sukienkę płomień chwycił. Na krzyk i wielki lament nadbiega matka ze stajni—ale niestety! już po niewczasie; okropnie poparzone od ognia nieboraczę, w kilka godzin potem skonało. — *Nietrudno o nieszczęście,* rodzice! dla tego powtarzamy zawsze: miejcie się na baczności!...

— *Trzęsienie ziemi.* Dobra ta nasza polska ziemia, co niby matka kochająca żadnej nam krzywdy nie czyni, po której bezpiecznie stąpać możemy i żyć sobie spokojnie—byle przy dobrem sumieniu. Nie masz u nas ani tych gór ziejących strasznym ogniem, jakie po innych krajach się znajdują, a które nazywają *Wulkanami*—ani też doznajemy takiego nieszczęścia, jakie innym narodom sprawia *trzęsienie ziemi.* Właśnie też niedawno, bo oto w miesiącu sierpniu tego roku, było takie trzęsienie ziemi w mieście *Norice.* A to miasto należy do Ojca św. jako że leży w państwie kościelnem we Włoszech. O godzinie 2giej z południa nagle, niespodzianie zatrzęsła się tam ziemia, i zanimbyś jedno Zdrowaś Marja wymówił, już całe miasto ze wszystkiemi domami i kościołami stało się jakby jedna kupa kamieni. Sądnyż to był dzień! kto został żyw, umykał co tchu za miasto, nie wiedząc sam co się z nim dzieje, a z miejsca tego, gdzie oto jeszcze przed chwilą stało miasto, i było życie wesołe między ludźmi, słychać było teraz jęki umierających i srodze poranionych od walących się domów i pękających murów. Nie wiedzieć jeszcze dotychczas, wielu tam wszystkich zginęło, ale już 69. odgrzebano nieżywych. Inni jeszcze leżą pod gruzami. Pokaleczonych jest co nie miara; tych wywożą do najbliższych szpitalów. A dla tych biedaków, co pozostali przy życiu, Ojciec św. wyznaczył wielką summę, aby na razie mieli jaką taką pomoc i nie potrzebowali z głodu umierać.

Okulary. Widząc Staszko w kościele jak pewna babka, wsadziwszy na nos okulary, modliła się na książce, zaraz sobie w głowie ułożył, kupić i książkę i okulary. W tej myśli poszedł na jarmark, kupił książkę do modlenia, a potem zażądał i okularów. — Tylko mi waćpan daj dobre, ja zapłacę; rzekł do kramarza. — Masz cały tuzin—odpowiedział tenże—wybierz które ci się spodobają. Staszek bierze jedne po drugich, wkłada na nos, roztwiera książkę: — Niedobre! niedobre — i wszystkie nicpotem! — Co niedobre! zawołał kramarz; ty pewnie czytać nie umiesz?—Ha jużcić! odpowiedział Staszek; gdybym umiał czytać, tobym waszych okularów nie potrzebował.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kocie oczy, wilcze gardło, co zobaczy toby żarło.
2. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.
3. Nie ciągnij psa za ogon, bo cię ugryzie.
4. Lepiej kotu na ognisku, niżeli psu na wiorzysku.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**